

W turkusowych oczach czytał miłosną zadumę, widział, że usta rozchylają się jakimś tęsknym pragnieniem, a nie wątpił, że pragnienie to tylko ku niemu zwracać się może...

— Panno Józiu, budzę panią — o czym pani myśli? — przerwał nagle milczenie Ludwik z uśmiechem i spojrzeniem zwycięzcy.

Józia leniwie podniosła głowę i spojrzała na niego jakby jakoś z daleka.

— O, ja teraz myślą byłam daleko, daleko — odpowiedziała wbrew zwyczajowi swemu bardzo po woli — aż w Pradze... Tak się cisną wspomnienia... Pamiętam, był także piękny, pogodny, słoneczny dzień... Jeden pan, który był mi bardzo, bardzo drogi, namówił mnie na przejażdżkę łódką po Wełtawie... Mówił, że umie wiosłować, ale pokazało się, że pojęcia o tem nie ma... Więc ja wzięłam wiosła, a on siedział naprzeciw mnie, tak jak pan teraz... Tylko wokół nas nie było tak cicho i spokojnie... Mijałyśmy łódki i parowce, z brzegów dochodził nas gwar i hałas miasta... Ale mnie nie obchodziło wtedy nic poza nami, poza naszą łódką... I tak było dobrze, spokojnie, szczęśliwie... Mój Boże! Dzisiaj mi się zdaje, że to już tak dawno i daleko... I myślę sobie, czy szczęście już nigdy nie wróci?...

Ludwik odniósł wrażenie, jak gdyby Józia przysnęła na niego nagle zimną wodą ze stawu.

Nieoczekiwane wyznanie i naiwna szczerłość nie zjednały go wcale i nie rozbroiły. Mężczyzną wstrząsnęła głucha złość za doznany zawód.

Więc ta dziewczyna śmie w chwili, kiedy on raczy się nią żywiej interesować, zapominać wprost o jego obecności... Tęsknotą ulata gdzieś do kogo innego!...

Ludwik zapragnął Józii zrobić przykrość, dokuć jej.

— W takim razie przepraszam bardzo panią, że przerwałem tak piękne marzenia... Gdybym wiedział, nigdy nie ośmieliłbym się... Proszę, niech pani marzy dalej i chociaż wyobraźnią wynagradza sobie braki rzeczywistości... Bo jak wnoszę z własnych słów pani, ów piękny wełtawski sen prześnił się...

Ostry ton i szydercze słowa podcięły Józję, jak szpicrutą.

Wrażliwa dusza dziewczęca, brutalnie urażona, zamknęła się odrazu, jak czuły kwiat mimozy, który pod dotknięciem kurczy się i kuli.

Józia była zanadto sprytna, aby się nie domyśleć odrazu, o co Rażyckiemu chodziło.

— A pan myślał, że co? — rzuciła zuchwale — pewnie się panu zdawało, że ja o panu marzę...

— Choćby mi się tak zdawało, miałem do tego pewne podstawy! — odpowiedział równie wyzywającym tonem.

Józia nie zmieszała się wcale. Spojrzała na Rażyckiego z pogardliwą ironią.

— Podstawy?! Ciekawam jakie?... To chyba panu niewiele potrzeba. Stanowczo zanadto pan zarozumiał!...

— Dziękuję za naukę!

— Och! Proszę bardzo!... Nic nie szkodzi!... Przyda się to panu, zobaczy pan...

Spojrzeni na siebie prawie wrogo. Oboje zrozumieli, że mylili się w swoich płytkich rachubach. Wątpiła, która ich łączyła, zerwała się.

Józia energiczniej poczęła wiosłować, nucąc jednocześnie jakąś wesołą piosenkę, chociaż wcale nie była w dobrym humorze.

— Może wrócimy już — zaproponowała nie patrząc wcale na Ludwika — czas na podwieczorek... Anielka nie lubi, jeżeli się ktoś spóźnia...

— Jak pani sobie życzy...

W Ludwiku zaszła po krótkiej chwili uniesienia reakcja. Zrozumiał całą niską brzydotę swego postępowania i zawstydzil się.

— Postąpiłem jak brutal i jak głupiec skończony, jak smarkacz... Doprawdy nie wart jestem nazywać się dorosłym mężczyzną... Słusznie dziewczyna drwiła sobie ze mnie...

Czuł, że powinien Józję przeprosić, ale upór nie pozwalał mu na to.

Łódź przybiła do brzegu. Józia i Ludwik wysiedli i w milczeniu skierowali się ku dworowi.

Rażycki był zmieszany, zły na siebie i na Józję zarazem, która straciła dla niego cały urok.

Józia również chmurna i nadąsana nie odzywała się wcale.

Nagle twarz dziewczyny rozjaśniła się wesołym, przyjaznym uśmiechem. Nie oglądając się na swego towarzysza, pobięła naprzód na powitanie Michnika, który schodził właśnie ze stopni ganku.

— Dzień dobry, panie Władysławie!... Już dwa dni pana nie widziałam... To brzydko, że pan się tak ukrywa! — szczebiotała Józia — I teraz, kiedy

ja wracam do domu, pan chce uciekać!... O! na to nie pozwolę! Raz, dwa, trzy!... W lewo zwrot!...

Józia nie grała komedii. W tej chwili poczuła do Michnika szczerą życzliwość, w przeciwstawieniu do Rażyckiego wydał się jej człowiekiem bardzo subtelnym i niezwykle sympatycznym.

— On przynajmniej nie chce się mną bawić!... Kocha mnie, dobry jest i delikatny! — zdecydowała dziewczyna w myśli.

A Michnik stał przed nią z twarzą jasną, promienną, rozświeconą, drżący ze szczęścia.

— Jakże ja byłem głupi i śmieszny z moją zazdrością, z moimi podejrzeniami! Ależ ona wcale nie dba o niego! — powtarzał sobie Władysław, idąc za Józją — O! moja dziewczyna słodka, jedyna, dobra, kochana!...

I zdawało mu się, że szczęście jego jest już blisko, że wystarczy wyciągnąć ręce, aby błękitnego ptaka uchwycić.

— Panno Józiu — rzekł wieczorem Ludwik Rażycki do Józii, kiedy całe towarzystwo po kolacy zeszło do ogrodu — przepraszam panią za moje dzisiejsze zachowanie się, za te brutalne, idyotyczne słowa... Proszę, niech mi pani to wybaczy. I teraz już nie ironicznie, ale szczerze dziękuję pani za naukę. Postaram się na przyszłość z niej skorzystać.

— Ja się nie gniewam — odpowiedziała dziewczyna — bo chociaż zrobił mi pan przykrość, ale ja po części zasłużyłam na nią. Ale wie pan, coś panu proponuję. Bądźmy przyjaciółmi, ale takimi szczerymi, bez żadnych ubocznych myśli i dajmy spokój temu głupiemu zwracaniu głowy, bo to licha warte.

— Zgoda! — zawołał wesoło Ludwik — Tak będzie daleko lepiej. Anielka przestanie kręcić główką z niezadowolaniem.

— Pan Kazimierz nie będzie miał powodów do irytacji.

— A pan Michnik do rozpacz! — dokończył Ludwik.

Józia na to nic nie odpowiedziała, tylko roześmiała się.

ROZDZIAŁ X.

Urwki z pamiętnika Kornelii Witówtówny.

15. lipca.

Wyjechał! Tak nagle! Dokąd?!... Dlaczego?!... Bez jednego słowa pożegnania... O głupia! Po sto-kroć głupia! Więc ja jednak ludziłam się — więc jednak zdawało mi się, że on dba o mnie cokolwiek więcej, niż o każdego obojętnego przechodnia, którego w tłumie mimowolnie potrąci!... Oj! Widać jeszcze za mało mnie życie nauczyło! Snać częściej mi trzeba patrzeć w lustro, choć nic pięknego, ni ciekawego tam nie zobaczę!...

Czyż on mi nie powtarzał tylekroć, że tylko ładne, pojętne kobiety istnieją dla niego, raz nawet z prawdziwie męską brutalnością powiedział:

— Nie rozumiem, po co Pan Bóg brzydkie kobiety stwarza?

I ja także nie rozumiem po co? Chyba po to, aby prawem kontrastu potęgowały się wdzięki tamtych szczęśliwszych... Mógł jednak wspomnieć o mnie choćby jako o przyjacielu, koledze, boć kolegą starałam się być zawsze dla niego... Ale czy jemu brakuje kolegów i przyjaciół? Na co jam mu potrzebna? Na co ja komukolwiek jestem potrzebna?

18. lipca.

Popelniałam głupstwo!... straszne, niewybaczalne głupstwo!... Poszłam do pani Rażyckiej, aby zapytać, dokąd on wyjechał...

Chciałam wiedzieć, w której stronie myślą go szukać... Chciałam napisać do niego... przemocą wcisnąć się do jego pamięci...

Pani Rażycka, jak zwykle, przyjęła mnie serdecznie, tak, jak ona tylko umie, może nawet serdeczniej niż zwykle...

Mówiliśmy długo to o tem, to o owem... Nareszcie ośmieliłam się zapytać:

— Pan Ludwik wyjechał tak niespodzianie? Dokąd to? Czy do wód może?...

— Nie! Do krewnych! — odpowiedziała mi krótko pani Rażycka.

Mówiła niby zupełnie zwykłym, swobodnym tonem, ale spojrzała na mnie tak dziwnie jakoś, bardzo, bardzo łagodnie, ale jakby z politowaniem.

Krew mi uderzyła do głowy... czułam, że przestaje się uśmiechać...

Zrozumiałam. Ta kobieta mnie przejrzała i nie chce mi powiedzieć jego adresu, bo lituje się nademną...

chce przerwać nedorzeczną miłość, chce mi odebrać złudzenia, których nie miałam, chce wyrwać nadzieje, których nie żywiłam...

Może umyślnie wysłała go stąd... Ja wiem, że ona jest dobra, ale poczułam do niej taką nienawiść, że gdybym mogła... Co jej to szkodziło, że ja chciałam choć patrzeć na niego...

Opanowałam się... musiałam się opanować... i dalej rozmawiałam o wojnie, o nowinach brukowych, o kłopotach aprowizacyjnych, o wszystkim, co mnie w tej chwili nic nie obchodziło...

Nie pójde już tam nigdy...

Zaowu pękła jedna nić łącząca mnie z ludźmi... A kiedw pękną wszystkie...

22. lipca.

Gdybym mogła, to leżałabym teraz całymi dniami beczynnym na łóżku i myślałabym o nim... i rozkoszowałabym się męką własnego serca... Ale tego robić nie mogę, bo jeść mimo wszystko trzeba... Muszę pracować i może to lepiej... Pracuję jednak jak automat, bez odrobiny zapału. A zewsząd słyszę i sama rozumiem, że w takich czasach, jak obecne nie dość pracować na kawałek chleba, ale trzeba ludziom dać coś z siebie...

Jabym dać chciała, ale cóż dam? Ja sama żebrak... Do pracy społecznej trzeba przystąpić z miłością, bo inaczej cała robota w proch się rozsypie... A ja... ja nie mam tej miłości... nie mam współczucia... Ja zazdroścę dziewczynie, która opłakuje narzeczonego, poległego na wojnie... ja zazdroścę żonie, co drży o męża... ja zazdroścę matce, która syna na wojnę wysyła... z zawiścią spoglądam na kobiety, wystające godzinami przed sklepami, aby dla dzieci swoich zdobyć pożywienie... One wszystkie bogatsze odemnie...

Marna ze mnie dusza... niska... A jednak ja mogłabym być inną... Tylko, mój Boże, dlaczego ja jestem tak bardzo nieszczęśliwa?...

26. lipca.

Dostałam dziś list z domu, a właściwie od matki... bo dom rodzinny od dawna nie jest już moim domem... List przepełniony radością... Marylka wychodzi za mąż... Nareszcie!... We wsi naszej mieli kwatery legionści... No i stało się, jak bywało... Pannienka z białego dworku i żołnierzyk... Miłość nagle... płomienna... Postanowiono wziąć ślub wojenny... Teraz już pewnie Marylka jest mężatką. To dobrze, to bardzo dobrze... Będzie o jedną zwichniętą egzystencję mniej, jedno życie rozkwitnie pełnią miłości i szczęścia, choćby na chwilę, na krótką chwilę...

Powinnabym się cieszyć, ale nie cieszę się... Nie będę kłamała sama przed sobą... Obojętne mi to... Tak mi jest, jakbym wcale nie miała rodziny... I oni nie tęsknią za mną... Nigdy nawet nie piszą, że pragną zobaczyć mnie... Natomiast ze wszystkich listów wyczuwam zadowolenie z tego, że ich nie kosztuję...

Naturalnie, byłam zawsze piątym kołem u wozu rodzinnego... zmartwieniem rodziców, którzy pojąć nie mogli, skąd się u nich „takie brzydkie dziecko“ wzięło!...

Sama jestem... z tem się pogodzić muszę!...

27. lipca.

Potworne myśli mnie nawiedzają... Zaczynam marzyć, jakby to dobrze było, aby on tak zeszedł, tak zniechęcił, czy okaleczał, żeby go nikt prócz mnie już kochać nie chciał... Jabym wówczas była przy nim... jabym mu oddała każdą chwilę mego życia...

Nie... nie!... Jaka ja podła!... Ta miłość moja to najstraszniejszy egoizm!... Jak to dobrze, że myśl nic nie może!...

2. sierpnia.

Gdzie on?! Gdzie on?! Skąd, jak się dowiedzieć? Przez pierwszy tydzień ze drżeniem oczekiwałam listonosza... Gdzieś tam kołatała się taka szalona, nedorzeczna nadzieja, że przypomni sobie, że napisze... Naturalnie... nie napisał i nie napisze... Przystałam się już spodziewać... Ale czem tu żyć?... I jak tu żyć?...

I ta ciągła dręcząca, straszna, bezrozumna zazdrość, że on tam gdzieś jest z jakąś kobietą!... Tak napewno jest znowu kobieta, która mu się podobala... O, jak jej nienawidzę!... Jak ja jej nienawidzę!...

(Dalszy ciąg nastąpi)